

№ 14. Rok XVIII.

Dnia 21 Marca (2 Kwietnia) 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Z obrazu Jana Styki „Golgota”

z fotografii zakładu J. Golcz dawniej Troczewski.

Matka Boska, święty Jan, święta Magdalena i niewiasty błogosławione u stóp krzyża na Golgocie.

HOSANNA.

Jeszcze w półmroku ziemia cała
Spowita w mgły srebrzyste stała,
Ledwie zadrasnął świt niebiosy,
Na kwiatkach drżały perły rosy,
A tam już kędyś po lazurze
Hosanna! brzmi radośnie w górze.
To pierwsze ptaszę z rannym świtem,
Zawisło z piosnką pod błękitem.

* * *

W oliwnych gajach szemrzą drzewa,
Woń wśród ogródców się rozlewa,
Palmy złocistym chwieją włosom,
Hosanna! szepcą śpiewnym głosem.
Już słońce wschodzi jak król w złocie,
Wkoło brylantów sięje krocie,
Rumieńcem płoną polne róże,
Hosanna! w całej brzmi naturze.

* * *

Do mistrza lud wylega z miasta,
Radosny w okół rozgwar wzrasta,
Przed Tobą — woła — my się korzym,
Zaiste, Tyś jest synem Bożym!
Dziatki stanęły w poprzek drogi
I kwiaty sypią Mu pod nogi.
Hosanna Tobie, królu ziemi,
Co nie pogardzasz maluczkami.

* * *

A na oślicy przez te tłumy,
Spokoju pełen i zadumy,
Wjeżdża Pan święta do Syonu,
Do miejsca męki Swej i zgonu,
Aby odkupić z grzechów winy
Przeszłe i przyszłe ziemi syny,
A od tej chwili już dalekiej
Hosanna! brzmi przez wieków wieki.

Marya S.

Sofia Kowczoka

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Walek się skulił, zrobił się maleńki, twarz wykrzywił i zaczął chlupać, jakby płakał.

— Widzisz, jak ja się nauczyłem dobrze płakać! W ziemie to trza jeszcze dygotać od zimna jakby cię febra trzęsła!

— Wstydź się Walek! — zawołał Józik. — Jakże ty możesz tak kłamać? Pan Bóg cię skarże za takie oszukaństwo!

— O, a bo to ja pierwszy taki? Dużo jej ubędzie tej bogatej pani jak mi da parę groszy? A ja kupię sobie papierosów, kupię sobie cukierków... Nawet na piłkę sobie zbierałem. Czasem opowiadałem, że mię cyganie ukradli i ja od nich utiekłem, czasem, że ojca para w fabryce poparzyła... Raz jedna pani chciała zemną pójść do sparaliżowanej matki, takem ją wyprowadził aż na Leszno, a potem czmychnąłem w boczną ulicę i tyle mnie widziała! Okrutniem się ubawił! Opowiedziałem jej, że jestem najstarszy, a oprócz mnie jest jeszcze pięcioro dzieci i zaraz powiedzia-

łem jakie mają imiona chłopcy, a jakie dziewczyny, ałem się omylił i zamiast pięciu imion, powiedziałem trzy imiona chłopców i trzy imiona dziewczyn. To znowu czasem udaję, że mię dusi okropny kaszel. Aż mi oczy na wierzech wyłażą. Opowiadam, że wszyscy sześcioro mamy koklusz!

— To z ciebie nie dobrego! A matka nic o tem nie wie?

— Matce znowu opowiadam inne historyjki. A tom staruszka ubogiego odprowadził do domu, bo zemdlął na ulicy, a tom był w kościele...

— Jabył tak kłamać nie potrafił! A i nie chciały! Przecie to grzech.

— To też ty się nigdy nie dorobisz! Napracujesz się i cóż z tego masz? Nawet ci ojciec na papierosy ani na cukierki nie da! Robisz na ojca, a on ci za to nie płaci! Ja się choę napróżnuję, nabiegam, co wlezie, nagram się w piłkę, naślizgam się po zamarzłych rynsztokach.

— A ja pracuję i dobrze mi. I może Pan Bóg tak mi da, że nigdy ręki po wsparcie wyciągać nie będę! Chybabym się pod ziemię schował ze wstydu!

Dla Marcina nie było ani niedzieli, ani święta. W Wielkanoc i Boże Narodzenie tak samo dźwigał pakunki, jak w dzień powszedni, tak amo musiał iść na stacyę. Rzadko też kiedy widywał panią Warbičką, którą znał oddawna i u której służył na wsi wtedy, kiedy mu to sieczkarnia palce ucięła.

Pani Warbička mieszkała w Warszawie od lat kilkunastu. Zestarzała się bardzo i jakoś coraz większa była n niej bieda. Wieś, co ją niegdys miała zabrali wierzyciele, bo kobiecina nie umiała gospodarować i służący ją okradali, potem przenosiła się w Warszawie do coraz to gorszego mieszkania. Póki mogła haftowała znaki na białiznie, bo to umiała dobrze robić, ale wzrok jej się popsuł, krzyż ją bolał od siedzenia nad krośnami, w końcu już nie zarabiać nie mogła. Sprzedawała po trochu co lepsze graty i nawszczie mieszkała na strychu w jednym pokoju i gotowała sobie jedzenie na maszynie naftowej. Idąc na schodach na swój strych stękała coraz bardziej, za każdym piętrem zatrzymywała się i sapała biedaczka, aż litość było słuchać. Dawniej miała duży znajomych, ale teraz nie odwiedzała nikogo, nikt też u niej nie bywał prócz Marcina parę razy do roku i Józika, który do niej zalaatywał, bo go ogromnie lubiła. Jak tylko Józik się zjawił i staruszkę grzecznie w rękę pocałował, zaraz zaczynała się o wszystko rozpytywać, potem zapalała ogień pod kuchenkę naftową i częstowała chłopca herbatą. Czasem posyłała go po bułki lub cukier i serdelki. Potem go błogosławiła jak dobroczyńcę.

— A niechże ci moje dziecko Pan Jezus wynagrodzi za to, żeś mi oszczędził chodzenia po tych nieznosnych schodach. Coraz mi ciężej po nich się drapać! Na mieszkanie niżej mię nie stać, w suterynach wilgoć a mnie po kościach łamie.. Nie wiem co to będzie jak się kiedy już z łóżka zwlec nie będę mogła. A przyjdzie to niedługo bom coraz słabsza.

Pani Warbička miała psa, który się nazywał „Bosy”, bo był cały czarny a łapy miał białe. Lubila go bardzo i często mówiła Józikowi, że chybaby zwaryowała, żeby nie te żywe stworzenie, które miała przy sobie. Bosy był uadry umiał różne sztuki i był bardzo posłuszny. Tak jednak nie cierpiał kotów, że gdy kota zobaczył, to się za nim uganiał i wtedy już żadne wołanie nie pomagało. Pani Warbička miała nieraz biedę z tą nienawistną „Bosego” do kotów. Raz uduślił bardzo pięknego kota jakiejś bogatej pani i pani Warbička musiała przeproszać. Ile razy, poskrobawszy do drzwi, uprosił by go wypuszczono tyle razy zaraz za kotami się ogłądał i często kota w jakim kącie wysledził, a gdy mu nieprzyjacieli uciekł na drabinę lub drzewo, to stał i czekał aż go jaki zniecierpliwiony przechodzeń odpędził i przestraszoną ofiarę z obłążenia oswobodził. Gdy się zaś „Bosemu” udało poturbować napotkanego kota, to wracał do swojej pani uszczęśliwiony i machał ogonem jakby, dopełnił wielkiego

czynu. Józika lubił, bo chłopiec umiał się z nim bawić. Pies był wesoły z natury i tylko przy swojej smutnej pani, stawał się smutnym.

Pani Warbicka wyglądała zawsze z upragnieniem odwiedzin Marcina, bo się z nim mogła nagadać o lepszych czasach, kiedy to jeszcze Wólka Kościelna do niej należała, kiedy miała wygodny domek, w którym nie było schodów oprócz tych, po których się schodziło do piwnicy.

— Niema to jak wieś, mój Marcinie — mawiała — ludzie gromadzą się po miastach na swoją biedę i na swoje zgorzenie. Na wsi człowiek bliżej Pana Boga i nie patrzy na tyle nędzy ludzkiej i na tyle ludzkiej głupoty i na tyle niegodziwości różnych. Zechym to ja choć przed śmiercią jeszcze Wólkę Kościelną zobaczyła!

Marcin tylko głową kiwał. Wiedział on, że Warbicka nigdy już Wólki nie zobaczy bo była i stara i biedna i coraz to słabsza.

— Ja pani powiem tak — mówił na pociechę staruszce — wszędzie człowiek poczciwy jest blisko Pana Boga, a staremu lepiej w mieście bo i doktor i apteka blisko...

— Staremu i doktor nie pomoże.

— A pamięta pani, jak się to mnie krew z palca waliła jak mi go sieczkarnia ucięła, a tu doktor o dwie mile i ani było czym krwi zatamować, choć pani kazała pajęczynę ze wszystkich kątów powymiatać i miałem jej z cal grubości na palcu. Ale tam nie bardzo był markotny! Dopiero jakem sobie wspomniął, że już nic nie będzie z mojego szewcwa com sobie o niem zawsze myślał, to mi się okrutnie niemilo zrobiło.

— Ja Panu Bogu dziękuję, że was Marcinie choć od czasu do czasu zobaczę, bo oprócz was i Józika to już tu nikogo nie znam w Warszawie. Do tych ludzi bogatszych co się z niemi dawniej znałam teraz nie chodzę, boby może myśleli, że co od nich potrzebuję i możeby im się nie podobała moja wyszarzana suknia, a możeby broń Boże chcieli mnie wspierać...

— Ha, możeby się pani czasem pomoc ludzka przydała.

— Nie, mój Marcinie, już ja na żebraczkę nie wyjdę! Z głodu może umrę ale ręki wyciągać nie będę. Z cudzej łaski nigdy nie żyłam, a kiedyś nie umiała zachować tego majątku co mi mój mąż nieboszyk zostawił, to słusznie, że bieduję na starość. No Marcinie, napijcie się jeszcze szklanek herbaty!

— Bóg zapłać!

— A ty Józiku.

— I ja już mam dosyć, dziękuję pani!

— Jednego wam tylko zazdroszczę, Marcinie, to tego chłopaka!

— Juści złoto nie chłopak! — odparł Marcin. — Rychtyk wdał się w nieboszczkę moją kobietę, cotom od niej, przez półtora roku cośmy z sobą żyli, złego słowa nie słyszał. I taki pracowity jak ona! Piotrowa, niby sąsiadka, wciąż mi tam radzi się żenić, ale mi żal dziecka, bo co matka rodzona to nie macocha. Czasem mi się tam trochę przykrzy bez gospodyni w domu, ale jak sobie wspomnę na chłopaka... Trza go będzie za jaki rok oddać do terminu, żeby mu dać chleb w rękę, to wtedy nie wiem jak będzie. Trza się będzie chyba ożenić wedle gospodarstwa. Za to już butów kupować nie będę, bo mi Józik darmo je uszyje.

— Ja i dla pani uszyję takie ładne, co jaże! — ozwał się nieśmiało Józik.

— Oj ty poczciwe dziecko! — rzekła pani Warbicka.

Gdy ostatni raz Marcin wracał od pani Warbickiej z Józikiem, aż go ciągnęło żeby zająć do szynku i wypić choć jeden kieliszek. Obracał oczy na szynk i nogi same na bok go prowadziły, ale Józik mocno się trzymał jego ręki, a zagadywał a wspominał matkę nieboszczkę. Chłopiec wiedział, że ojca wódka do szynku ciągnie i chciał mu gwałtem złą myśl z głowy wybić. Przypominał mu, że wróciwszy do domu trzeba będzie zaraz lecieć na pospieszny z Kowla. jakoś nareszcie Marcin zaczął myśleć o czem innym i już

prosto poszedł z Józikiem. Na stacyi tego dnia zarobił sporo, bo z numerem 7-ym wynosili z wagonu jakiegoś bogatego pana, którego noga tak bolała, że się jej tknąć nie pozwalali. Za to wynoszenie dobrze zapłacił posługaczom. Gdy Marcin wracał na odpoczynek do domu, znowu mu wódka zapachniała. Przeklinał ją w duchu, nazywał „dyabelskim nasieniem”, a czuł, że silniejsza od niego i że go zmoże.

— Oj zmoże, bestya — myślał — zmoże ta z piekła rodem! Człowiek się nie wywczasuje, nie wyprostuje...

Był zmęczony, chciało mu się spać a głodu nie czuł. Zjadł bez apetytu co mu Józik przygotował i fuknął na niego sam nie wiedział o co, a potem zawołał groźnie:

— No, leć mi po wódkę!

Józik nie śmiał nic odpowiedzieć i przyniósł wódki, a jak ją na stole postawił, Marcinowi aż oczy zaśmiały się do niej!

Marcin począł pić i prędko jakoś w głowie mu zaszumiało.

— Jenszy — mówił niewyraźnie, jakby mu język kołkiem stawał — jenszy to się zaraz zatacza jak się wódki napije i bełkocze sam nie wie co, a po mnie nikt nie pozna! Chodzę prosto, jak wagon po szynie, i mówię gładko, jak z książki.

Wstał, potknął się trochę na równej podłodze i zawołał waląc pięścią w stół:

— Przynieś jeszcze wódki do poduszki! Trza tego robaka lepiej zalać!

Józik zaczął płakać i zawołał okrutnie żałośnie: „Tatusiu”, ale Marcin spojrział na niego groźnie surowemi oczyma, że chłopiec nie czekał, aż mu pięść ojcowska na głowę spadnie i porwawszy butelkę wybiegł z izby co prędzej.

Marcin nie doczekał się jego powrotu. Chrapał na ławie, gdy Józik z wódką powrócił, ale po paru godzinach obudził się, bo ława była twarda i zawołał na chłopca:

— A pamiętaj mnie obudzić przed dwunastą, bo to mój dyżur dzisiaj! Wódki przyniosłeś? Daj no kieliszek! Tylko jeden kieliszek, żeby starszy nie poczuł on ma taki delikatny nos.

Wypił kieliszek, położył się do łóżka i spał niespokojnie przewracając się z boku na bok i jęcząc przez sen. Przed dwunastą zerwał się budzony przez Józika. Wyglądał okropnie. Józik uprosił go że się umył, uczesał i zlał głowę wodą.

— Mnie to wszystko niepotrzebne — powtarzał chrapliwym głosem — bo po mnie nikt nie pozna. Chodzę prosto jak wagon...

— Zjedzcie trochę ciepłego mleka, tatusiu.

— Nic nie chcę! Najedzony jestem jak bąk! Napić tobym się napił, ale trza lecieć na stacyę!

Józik odprowadził Marcina, który jakoś równowagi utrzymać nie umiał i potykał się na równej drodze. Chłopiec był smutny bardzo, żal go za gardło ścisnął, bał się by ojciec służby nie stracił, by na stacyi nie spostrzeżono, że nie jest zupełnie trzeźwy. Gdy jednak Marcin znalazł się na dworcu, jakoś raźniej chodząc począł i Józik wrócił do domu spokojniejszy.

Tymczasem Marcin stał na ganku dworca, przed który zaczynały zajeżdżać dorożki, ale czuł się ociężałym i nie miał ochoty zejść ze schodów, bo się bał potknąć. Inni posługacze biegali i usługiwali podróżnym, a on się oparł o framugę drzwi i miał minę tak zasnęłą, że towarzysz z numerem 7-ym na blasze, zawołał:

— Cóż to, Marcinie, śpicie jeszcze, czy co?

Marcin się obraził choć zwykle był wesoły i dobry, bo człowiek, który jeszcze choć trochę ma w czubku, o byle co się obraża.

— A wam co do mojego spania? — zawołał gburowato — głowa mnie boli, że o mało nie rozsądzi a tu na mnie dziś dyżur!

I stał tak dalej, oparty o framugę. Posługacze znikli powoli z ganku i krzatali się po salach, kupowali dla podróżnych bilety, wyprawiali rzeczy, bo już było niedaleko do odejścia pociągu. Rozległ się naprzód pierwszy, potem drugi dzwonek, a Marcin z miejsca się ruszył. Aż tu zaturlotała dorożka przed samym gankiem, wyskoczył z niej podróżny i zawołał:

— Posługacz, wszystkie rzeczy do wagonu 1-szej klasy! Prędko bo już musi być późno.

Marcinowi jakby kto w kark dał. Ruszył się prędko, wyjął rzeczy z dorożki, mówiąc:

— Już po drugim dzwonku, trza się spieszyć.

Dźwigał za podróżnym walizkę i torbę, ale czuł, że mu się nogi plączą. Z trudem wygramolił się na stopnie wagonu, a gdy walizkę stawiał na ławeczce u góry to mu się zdawało, że ma ręce i ramiona z ołowiu.

— Uciekaj—wołał podróżny dając mu zapłatę — bo pociąg rusza!

— Nie pierwszyż mi —odparł Marcin zdejmując czapkę.

Wyszedł na ganeczek wagonu, który już się toczyć począł myśląc: Odprysięgnę się od te-

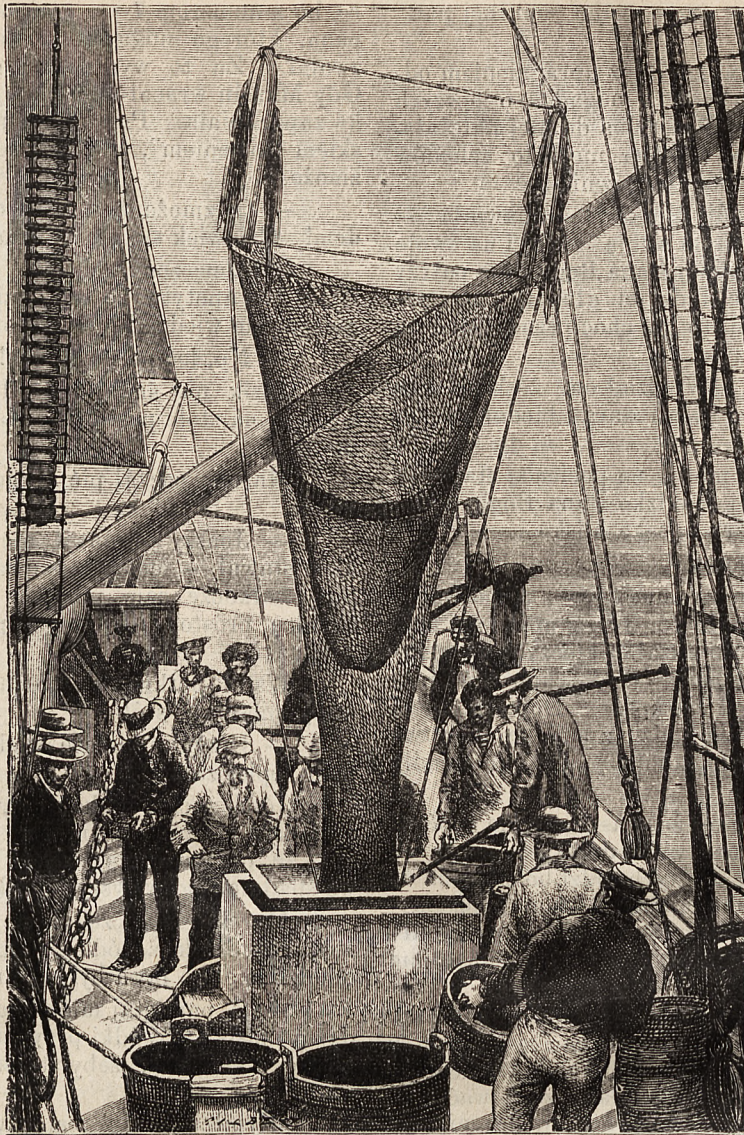


Fig. 117. Powrót sieci morskiej.

go okropnego picia od tej z piekła rodem... Pójdę do kościoła, pójdę do księdza i przysięgnę przed ołtarzem...

Wagon szedł coraz prędej, Marcin jakoś się chwiał na nogach, wreszcie wyskoczył, ale tak nieszczęśliwie, że wpadł pod koła, które mu obie nogi przejechały, podczas gdy stopnie wagonu, uderzwszy go w głowę, zabiły na miejscu.

Józik dopiero w parę godzin potem dowiedział się, że jego ojciec już nie żył. Biedny chłopczyna nie mógł początku zrozumieć swego nieszczęścia, nie mógł pojąć, że ojca, którego kochał bardzo, nie zobaczy już nigdy, że nigdy już nie usłyszy jego głosu. Płakał, chodził jak struty, nie mógł sobie z żalu dać rady. Po pogrzebie wrócił do domu sam, przez parę dni jadł tylko chleb suchy i zamykał się ze środka, żeby nikt do niego nie przychodził, bo on nie chciał widzieć nikogo. Piotrowa chciała go wziąć do siebie, myślała, że się będzie bał zostawać w izbie sam jeden, ale Józik nie lubił Piotrowej, która tak koniecznie chciała ojca ożenić, nie miał ochoty zadawać się z Walkiem, który na coraz gorszego łobuza wychodził, więc

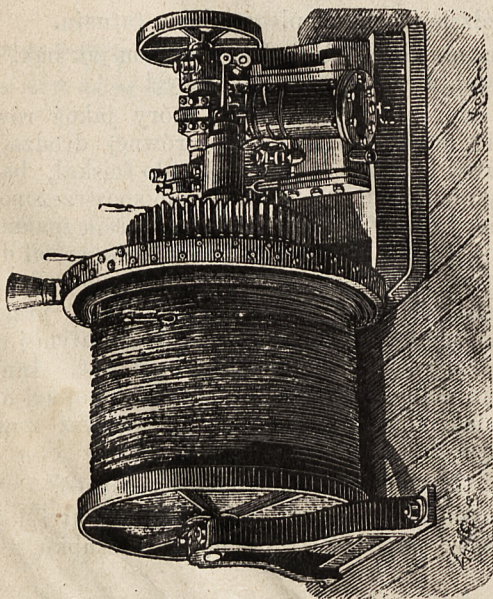


Fig. 118. Wał używany do nawijania stalowego sznura.

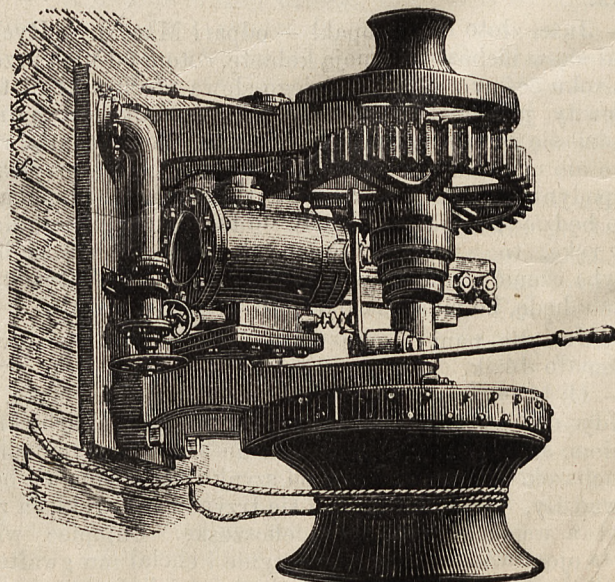


Fig. 119. Przystawek używany do wyciągania sieci z morza.



W niedzielę Palmową.

podziękował Piotrowej przeze drzwi, nie otworzywszy ich nawet i siedział sam w swojej izdebce.

(d. c. n.)

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Opisana dopiero co sieć jest tak doskonałym przyrządem, iż ciągniona po posadźce, zbiera drobną monetę którąśmy rozsypali, to też używanie jej w głębinach jest nader pożyteczne w wielu wypadkach. Ale na miękkim, mulistym dnie skórzany wór szybko napełnia się mułem i odtąd sieć nic już nie zbiera. Prócz tego z powodu niewielkich rozmiarów sieć ta łowi jedynie drobne i mało ruchliwe zwierzęta. Dlatego też często używa się sieci znacznie większej (zwanej *chalut*) przedstawionej na ryc. 117.

Składa się ona z dwóch worków siatkowych, z których wewnętrzny ma dno otwarte i służy głównie do zatrzymywania zwierząt, które się gromadzą w sieci dłuższej. Sieć ta nie napełnia się mułem, gdyż ten wycieka przez oczka. Gdy taka ogromna sieć wraca na pokład okrętu do połowy napełniona, przynosi istne muzeum zwierząt; zdarza się wprawdzie, że przynosi zarazem ogromne kamienie, ważące po kilkaset funtów.

A jakiej to siły potrzeba użyć, aby tak obciążoną sieć wyciągnąć z głębokości 4.000 i 5.000 metrów, zwłaszcza gdy zaczepiła się o skały! To też używane są w tym celu potężne maszyny. Sieć przywiązana jest do metalowego sznurka, który widzimy nawinięty na ogromnej bobinie (ryc. 118).

Bobinę tę wprawia w ruch machina parowa. Na ryc. 119 widzimy zaś przyrząd z walcem używanym do wyciągania sieci z morza, przyczem metalowy sznur nawija się na bobinę w miarę podnoszenia się sieci. Zwykle przed zapuszczeniem sieci do morza zarzucają w pierw ołowiankę, aby się przekonać, jaka jest głębokość i ile trzeba odwinąć sznurka dla sieci. Najczęściej jednak odwijają 600 do 800 metrów więcej niż głębokość wskazuje. Aby sieć dojść mogła do samego dna, przywiązują do jej sznurka ciężar ważący 200 do 300 funtów, a także umieszczają inny ciężar na dnie sieci.

Okręt płynie i sieć wlece po dnie, przytem należy zwracać baczną uwagę, aby okręt nie płynął zbyt szybko, gdyż wtedy sieć skacze po dnie i nic nie zbiera. Dragowanie na znacznej głębokości trwa kilka godzin (7 do 8).

Sieć zabiera bez wyboru wszystkie zwierzęta, jakie natopka między dnem a powierzchnią. Lecz gdy chodzi o dokładną wiadomość na jakiej mianowicie głębokości złowione zwierzęta ponad dnem morskiem, to w tym celu wyrabiają teraz sieci, które się otwierają dopiero w chwili połowu na danej głębokości, a potem znowu się zamykają. Zawierają one przeto zwierzęta, pochodzące z określonej warstwy wody.

Gdy się wraca na pokład, wówczas dopiero rozpoczyna się praca dla uczonych. Trzeba delikatnie zwierzątko ostrożnie oddzielić od sieci i pakuł, obmyć z lepkiego mułu, poukładać je potem w słoje ze spirytusem albo też wysuszyć jeżeli chodzi jedynie o przechowanie szkieletu. Spirytus należy kilka razy zmieniać, gdyż od wysiakającej wody z ciała zwierząt, staje się on coraz słabszym. Trzeba także chociaż w przybliżeniu określić, do jakich zoologicznych grup należą zebrane okazy, dać napis na każdym słoju, oraz porobić rozmaite notatki, oznaczające gdzie, kiedy i jak zwierzę zostało złowione; wreszcie porobić rysunki ze zwierząt żyjących. Widzimy, jaki to nawał pracy, zwłaszcza gdy tak jak na Ta-

lismanie zarzucano sieć trzy razy dziennie podczas trzech miesięcy.

Jak wiele zwierząt sieć może przynieść jednorazowo wnioskować możemy z tego, że pewnego dnia Wyville Thomson wydobyl z sieci 20.000 jeżów morskich. Ale zdarza się także, że sieć wraca prawie próżna, co bywa w skutek tego, że zaplątała się w sznurze od szybkiego biegu okrętu, albo że nie dosięgła dna, które nagle się pogłębiło. Trafia się także, że sieć, zaczepiwszy się o skały, zostaje na dnie morskiem

Butelki do wody. Ważnem jest nader wiedzieć, jaki jest skład wody morskiej na rozmaitych warstwach Oceanu. Przyrządy, za pomocą których czerpią wodę morską na określonej głębokości, są to mocne walce metalowe, opatrzone klapami na obu końcach, które są otwarte, gdy przyrząd w dół się opuszcza (wskutek oporu wody), tak iż woda morską swobodnie przepływa, nie zatrzymując się w walcu. Lecz w chwili gdy butelka się podnosi, klapy nagle się zamykają (również skutkiem oporu wody) i zatrzymują wodę wewnątrz walca. Tym sposobem butelka została napełniona wodą zaczerpniętą na tym poziomie, na którym walec się zamknął.

Wewnątrz butelki woda zachowuje takie ciśnienie, jakiemu uległa w chwili zaczerpnięcia. z tego powodu, gdy przyrząd zostaje otworzony na powierzchni morza, to woda, znajdując się nagle pod ciśnieniem nierównie słabszym, wypycha większą część gazów w niej zawartych i bije tak jak woda sodowa.

(d. c. n.)

W NIEDZIELĘ PALMOWĄ.

Na pamiątkę uroczystego wjazdu do Jerozolimy Chrystusa Pana, podczas którego zebrane rzesze rzucały Mu pod stopy zielone gałązki i kwiecie, wierni we wszystkich krajach spieszą w dzień ten do kościołów z gałązkami zieleni, przybraniami w kwiaty i wstążki. Gałązki te poświęcone w kościele przechowują się przez rok cały, jako pamiątki tego dnia uroczystego.

Gdy u nas budząca się zaledwie do życia ze snu zimowego przyroda, mało jeszcze na dzień ten zdążyła rozwinąć bogactwa roślinnego, skromnej acz miłej ze swymi rozwijającymi się pączkami, przystrajając je w barwinek.

Lecz w krajach południowych, we Włoszech i Hiszpanii, gdzie roślinność bujniejsza, wybór gałązek jest wielki, a palmowe otrzymują pierwszeństwo, jako najwspanialsze. Dziewczęta w tych krajach z wielką sztuką przystrajają palmy, wplatając też w około długiego drążka zarówno świeże kwiaty i zieleni jako i barwne wstążki i jaskrawe świecidełka, współubiegając się między sobą o najpiękniejsze i najmisterniejsze ozdobienie. Załączona do dzisiejszego numeru rycina przedstawia właśnie powrót z kościoła w niedzielę palmową ludu włoskiego w górzystej prowincji Abruzzów, leżącej w południowych Włoszech.

Na tle wdzięcznego krajobrazu, wśród młodej a bujnej już zieleni, widzimy na pierwszym planie urodziwą wieśniaczkę z dziewczynką, w świątecznych strojach, z jaskrawie owiniętą i ozdobioną palmą.

Za niemi idą starsi i dzieci, a w głębi widać kościołek i wioskę.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Uroczystości koronacyjne miały od dawien dawna program nakreślony, że zaś tego rodzaju koronacja odbywała się dopiero poraz pierwszy, trzeba było odstąpić od uświęconych zwyczajów i zmienić nieco tak sam obrządek jako też i odbywające się zabawy.

Sam Tarnowski nawet, który przeciwny był, ażeby dzieci otaczały tron młodzickiego króla, po bliższej naradzie z biskupami Krzyckim i Karnkowskim, zastanowił się i rzekł:

— Możeć lepiej, że mu się da zabawy i widowiska do jego wieku stosowne, bo inne łącno mogłyby mu przewrócić się w głowie.

Prymas, Jan Łaski takiego był również zdania rzekł zatem:

— Równy równego niechaj zabawia.

— Ci, co będą go dziś bawili, będą z nim kiedyś radzili i da Bóg w potrzebie piersiami go swemi zasłonią — rzekł, zamysławiając się Tarnowski.

— Otoczenie stanowić będzie starszyzna — rzekł prymas.

— Królowej zamiary nie osiągną celu — dodał Krzycki owszem, dopomogą do zbliżenia przyszłego króla ze szlachtą.

Jak więc postanowiono tak i uczyniono, a dzień 20 lutego 1530 roku był nie tylko dniem koronacji młodzickiego Zygmunta, lecz prawdziwym świętem dla młodzieży.

Na kilka dni przedtem widziano całe tłumy dzieci różnej płci i wieku, przypatrujące się z wielką ciekawością wspaniałym kościołom i gmachom lub pod przewodnictwem mistrza ceremonii odbywające ćwiczenia, które miano w dniu koronacji wykonać.

Wśród całego tego tłumu, spotykamy i naszych znajomych z zakroczymskiego zamku, dla których było to prawdziwą niespodzianką, że będą do koronacyjnego korowodu należeli. Kasztelan bowiem odebrałszy zaproszenie, żeby przybył z dziećmi, wcale im o tem nie oznajmiał, rzekł tylko do żony:

— Chłopcy starsi i tak mieli jechać do szkół, możeby warto i Piotrusia od razu, ale to się zobaczy, dziewczęta weźmie się gwoli pokazania miasta, ale o korowodzie nie trzeba im mówić.

— Rozumie się — odrzekła pani Łucya — jabym nawet wolała, żeby do tego korowodu nie należały ..

— Jeno, że królewicza nie można obrażać, boć wyraźnie żądał ich przyjazdu — odrzekł pan Baltazar.

— Wiemci o tem; w wielu razach trzeba po niewoli coś zrobić; aleć, że poniewoli, to prawda — mówiła kasztelanowa.

Choć nie było to po jej myśli, widzieliśmy jednak, że ani jednym słówkiem nie dała poznać swego niezadowolenia i dziewczęta ku swojej wielkiej uciechu jako i ochmistrzyni przybyły do Krakowa.

Na drugi dzień po przybyciu oboje kasztelanstwo wraz z dziećmi poszli do kościoła na Wawel, po wysłuchaniu Mszy świętej, kasztelan wraz z dwoma starszymi synami wyszedł, chciał bowiem jak najprędzej załatwić się z umieszczeniem ich w szkołach. Ze zaś znał dużo osób zajmujących wysokie stanowisko, chciał się z nimi w tej sprawie naradzić i ich opinie chłopce polecić.

Pani Łucya z dziewczynkami i Piotrusiem została; wstawszy z ławki szła do kaplicy ukrzyżowanego Chrystusa, ażeby dzieciom pokazać ołtarz, przed którym modliła się królowa Jadwiga i przed tymże ołtarzem polecić Bogu dalsze losy swych dzieci.

Nie zdążyła jednak zmówić ani jednego Ojczy nasz, gdy w pobliżu stanął pan Opaliński i postanowił czekać, aż pobo-

żna niewiasta modły swoje dokończy. Lecz Anusia zaraz go spostrzegła, a pociągnawszy matkę zleka za rękaw, szepnęła:

— Ochmistrz królewicza jest tuż za nami.

— Cicho — odrzekła szepem matka.

— Dziewczynka nie rzekła już nic do matki, lecz z Piotrusiem i Jadwisią zamieniała co chwila spojrzenia i wcale modlić się nie mogła. Jadwisia z początku usiłowała mówić pacierz, lecz pomimowoli obejrzała się, a zobaczywszy pana Opalińskiego, który przyjaźnie spoglądał na nich, zaczerwieniła się i zaczynając kilkakrotnie „Zdrowaś”, nigdy skończyć nie mogła. Mimo to nastroiwszy poważną minę, dawała znaki rodzeństwu, ażeby się nie oglądali. Lecz Piotrusia trudno było uspokoić, odwracał się ciągle, szeptał do sióstr, pokazywał im ochmistra, czem tak przeszkadzał matce, że ta nie chcąc jego zachowaniem się dawać innym zgorszenia, surowo tylko nań spojrziała i wstawszy, zamierzała wyjść z kościoła.

Wtedy przysunął się pan Opaliński i z wychodzącymi szedł ku drzwiom, a Piotruś niewiele myśląc, uczeplił się jego ręki, czego mu zacy ochmistrz wcale nie broniał.

W kruchcie zaś zbliżył się do kasztelanowej i rzekł układnie:

— Domyśliłem się w jejmość dobrodziejce jaśnie wielmożnej kasztelanowej zakroczymskiej, w której domu mój królewski wychowaniec i ja byliśmy pod jej nieobecność tak gościnnie przyjęci.

— Tak mój małżonek jako i ja żałujemy bardzo, żeśmy pod czas ten w domu nie byli, ominęła nas sposobność powitania pod naszym dachem tak dostojnych i miłych gości — odparła z ukłonem kasztelanowa.

— Królewicz tak został ujęty gościnnością w domu jaśnie wielmożnych państwa, iż zobaczywszy dzieci ich w kościele, uprosił ichmość królestwo, ażeby mu pozwolili zaprosić kasztelaniki i Piotrusia do zamku; a czyniąc zadość jego żądaniu, przyszedłem życzenie jego jejmość dobrodziejce przedstawić.

Kasztelanowa chwilkę milczała, nie wiedząc jak sobie radzić; słyszała, że wezwaniu królewskiemu nie można odmówić bez narażenia się na niełaskę, w duszy zaś trochę nie była rada zaproszeniu, choć zaszczyt na jej dzieci splotywał, pokryła jednak niezadowolone i z uśmiechem odrzekła:

— Wielka to łaska jego królewiczowskiej mości, że chce się z naszymi dziećmi zabawić lecz prosto są z drogi, muszą się przeto przystojniej do takich odwiedzin przybrać..

— Jejmość dobrodziejka pozwoli im pójść, jak stoją, królewicz koniecznie sobie tego życzy — rzekł stanowczym głosem ochmistrz.

Pani Łucya spojrziała nań, a widząc, że pan Opaliński nie odstąpi od swego, dodała tylko:

— Pod opiekę jegomości dobrodzieja je oddaję, a nie wiem kiedy po nie przysłać, żeby się długą bytnością, a też nieumiejętnem zachowaniem zbyt nie uprzykrzyły.

— Przez zaufaną osobę do mieszkania imci państwa dobrodziejstwa dzieci będą odprowadzone — odparł Opaliński, nieco przydługą rozmową znudzony.

I ukłoniwszy się, wskazał dziewczynkom drogę a sam z przyczepionym do swej ręki Piotrusiem, poszedł za nimi.

Jadwisła i Anusia kilka razy obejrzały się na matkę, która dziwnie w tej chwili czuła się osamotnioną, jak gdyby je na zawsze traciła.

Jadwisi łąy w oczach stanęły, nawet Anusia zwykle tak śmiała i wesoła, chociaż pragnęła ujrzeć królewicza, byłaby teraz z chęcią uciekła i rzuciła się matce na szyję, tylko Piotruś szedł odważnie, zarzucając pytaniami ochmistra, na które tenże uśmiechem pobłażliwym odpowiadał. Pan Opaliński poprowadził dzieci do komnaty, w której zwykle królewicz razem z nim przebywał, jeżeli go matka nie zawołała i wraz z siostrą nie trzymała przy sobie.

— Pójdźcie, pójdźcie! — wołał królewicz, zobaczywszy je przez drzwi otwarte i mimo oporu siostry, wybiegł i z kolei dziewczynki a potem Piotrusia serdecznie ucałował.

— Wicie, Niedźwiedź jest także, będziemy się doskonale bawili! Ale czemu niema Jędrusia i Marcinka, czy nie przyjechali? — mówił Zygmunt jednym tchem, według swego zwyczaju.

I wprowadził ośmielone nieco tem serdecznem przyjęciem dziewczynki i Piotrusia, który o ile dotąd szedł wesoło, teraz jakoś posmutniał i tylko z pod oka spoglądał.

Dopiero gdy zobaczył Kazika twarzyczka jego się ożywiła i podbiegłszy, z całą serdecznością rzucił mu się na szyję.

Kazik zaś obznajmiony już nieco przez te dni kilka ze zwyczajami dworskimi, mimo całego wybuchu czułości i szczerzej chęci przywitania się z krewniaczkami, trzymał się jednak na uboczu. w obecności swego młodego pana, bo tak kazała dworska etykieta.

— Niedźwiedziu, nie poznajesz Jadwisi i Anusi? — zapytał.

— Poznają. lecz nie wiem, czy mi wolno przywitać się z nimi w obecności jego królewiczowskiej mości — rzekł Kazik układnie — a twarz jego oblała się rumieńcem.

— Dobry sobie, tam w komnatach przy mamie, co innego, tutaj możemy się bawić wesoło — zawołał Zygmunt.

— Wszak prawda, mości ochmistrzu? — zapytał, zwracając się do Opalińskiego.

Ochmistrz uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł: — Można, tylko bez zbytniego hałasu i z pomiarkowaniem; wesołości, jako i wszystkiego, trzeba w miarę używać.

Lecz siniora najwidoczniej innego była zdania; zachowanie królewicza znać jej się nie podobało, zaczęła bowiem bardzo głośno mówić po włosku, wymachując przytem rękami, jak to miała w zwyczaju; czem tak onieśmieliła kasztelaniki, iż przytuliwszy się do siebie, spoglądały dokoła z przestraszeniem.

Zachęczone jednak przez królewicza, podbiegły wreszcie do Kazika, a ściskając go, zarzucały pytaniami:

— Nie tęsknisz do nas?
— Teraz jakoś inaczej wyglądasz? — wołały, przypatrując mu się ciekawie.

I rzeczywiście Kazik zmienił się do niepoznania. Ciemne jego dość długie włosy, przycięte nad czołem i zwykle swobodnie spadające, zwinęte były teraz w misterne pukle, obcisłe zaś, ciemno zielone z jasnymi rękawami na szwach bramowane złotym sznurkiem ubranie, spięte na drobne złote guziki, uwydatniało wprawdzie jego kształtną postać, lecz nadawało zarazem pozor dziwnie sztywny, jakby przykrojony do dworu, na którym zostawał.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Ś. p. Klemens Junosza Szaniawski. — Wynalazki Szczepanika.

Literatura nasza poniosła ciężką stratę. Dnia 22 marca r. b. zmarł znany powieściopisarz Klemens Junosza Szaniawski.

niawski, autor wielu powieści i obrazków, w których z humorem i dowcipem, a zarazem z rzewnością i serdecznością przedstawiał życie drobnej szlachty i mieszczaństwa, kreśląc liczne technące prawdziwem życiem typy i postacie. Niezależnie, od talentu był to człowiek wielkiej dobroci, szlachetności i pracowitości. Wszystkie jego utwory cechuje zacna tendencja, wiara w Opatrzność Boską.

Zmarł w 48 roku życia, sterany chorobą i wieloletnią pracą od samego dzieciństwa prawie, gdyż rodzice odumarli go za młodu. Pochowany został w Lublinie, rodzinnem swem mieście.

Jan Szczepanik, do niedawna jeszcze nauczyciel ludowy w Korczyni w Galicyi, liczący zaledwie dwadzieścia kilka lat wieku, dokonał dwóch wielkich wynalazków z dziedziny elektryczności. Są to wynalazki tak wielkiej doniosłości, że nazywają już Szczepanika powszechnie polskim Edisonem, a cały świat naukowy i przemysłowy zajęty jest ich badaniem.

Pierwszy wynalazek nosi nazwę *telektroskopu*, a służy do przenoszenia na dowolną odległość całych obrazów i widoków z zachowaniem rzeczywistych ich kolorów, nad czem podobno Edison pracuje bezskutecznie od 20 lat.

Wynalazek ten uczyni niepotrzebnem i przestarzałem cały obecny sposób telegrafowania za pomocą kresek lub liter, gdyż tak samo, jak obrazy rzeczywistych zdarzeń, telektroskop przekaże na odległość kopię rękopisów i druków, i to w mgnieniu oka, a na oznaczonym miejscu utrwaląc je będzie na małej płycie fotograficznej albo na czułym, przygotowanym odpowiednio papierze. Przenoszenie to odbywać się ma bez względu na odległość. Jeżeli np. pewnego rana zawiesimy w aparacie świeżo wydrukowany egzemplarz dziennika, to za parę sekund w Sydney, w Australji, będzie już gotowa kopia pierwszej jego strony.

Drugim wynalazkiem Szczepanika jest sporządzenie i przenoszenie na tkaniny w drodze fotograficznej wzorów dla tkaczy, w celu wyrabiania tkanin kolorowych. Wzory, które dotychczas kosztowały wiele pracy artystycznej, czasu i pieniędzy, w przyszłości wykonywane być mają w sposób prosty i tani dla wszystkich gatunków tkanin, od najkosztowniejszego gobelinu aż do kwiecistych chustek jedwabnych. Związek bankowy w Barmen odkupił patent od wynalazcy i zamierza w Elbersfeldzie założyć pierwszą fabrykę, w której zastosowanoby pomysł Szczepanika.

Podwójnie cieszyć się możemy z tych wynalazków, po pierwsze, że z czasem będziemy wszyscy z nich korzystali, powtóre, iż uczynione zostały przez naszego rodaka. Jeżeli teraz miło nam otrzymać w ciągu godziny wieść od drogiej osoby, będącej gdzieś daleko, to jakąż to będzie radość móc widzieć wierne odbicie jej twarzy i ruchów, jej mieszkania i otoczenia w tej samej prawie chwili. Telektroskop będzie dla wzroku tem, czem telefon jest dla słuchu, z tą różnicą, że stokroć dalej sięgać może.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Hosanna, przez Maryę S. (z ryc.) — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłoniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — W niedzielę palmową (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Ze świata. — Dodatek: Dary wiosny, wiersz przez M. D. — U cioci Polci (z ryc.) — List Józia. — Królowa poziomek i paproci przez Wacława Sulimę. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

DARY WIOSNY.



uż słońeczko zajaśniało
Z zachmurciemnych już wyjrzało,
Wiosna idzie, wiosna miła,
By nam świat ten ozdobiła!

Ozdobiła dary swemi
Tak miłemi, tak cudnemi!...
Ach, już mówię istne czary
Tej wiosenki hojnej dary!

Wnet się trawka zazieleni
Wnet się wszystko pięknie zmieni
Wnet zakwitną krzewy, zioła
Śliczne, barwne, dookoła.

Jeszcze pruszy śnieżek czasem,
Jeszcze bieli się pod lasem,
Chłodne jeszcze wschodą ranki,
Już jaśnieją tam sasanki!

I przelaszczka, choć nieśmiało
Też wychyla główkę małą
Budzą się pierwiosnki z pączka
Stokrocią zasiana łączka.

A fijołeczek skromny, cichy
W trawce kryje swe kielichy,
Lecz woń jego dziwnie miła
Już go wcześniej nam zdradziła.

Kwiatki wdzięczne, cudna wiosno,
Z wami w sercu tak radosno,
I ta ziemia nasza cała
Zda się wołać: Bogu chwała!

Za to życie, słońca blaski,
Niezliczone Twoje łaski —
Niech Ci wdzięcznych Twoich dzieci
Pieśń serdeczna w niebo lecil!

M. D.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Panowie i panie — rzekł znów — proszę uważać.
Pociągnął kartę za dwa końce, tworząc duże, a cienkie
koło, włożył je sobie na głowę i z niewielkim trudem
prześliznął się przez nie.

— Pysznie — zawołała ciocia — muszę zapamiętać
jak to się robi, żeby też kogo zadziwić.

— Cóż teraz będącieny robili — spytały dzieci. —
Deszcz ciągle pada, a wiatr taki silny, jakby chciał wszy-
stkie liście pozrywać.

— Wiecie co, dzieci, pokażę wam jak się robi koło
obracane przez wiatr. Weźmiemy dwa kawałki tektury.
Ale potrzebujemy cyrkla, a ja go nie mam, jakże zro-
bimy?

— O, można robić koła i bez cyrkla — zawołał Hen-
ryś; wziął kawałek sznurka, przywiązał jeden koniec do
ołówka, drugi przymocował szpilką do tektury i naryso-
wał koło. Zosia zrobiła to samo za pomocą przewrócöne-
go kieliszka.

— Brawo — rzekła ciocia — jesteście zręczne dzieci,
ja także teraz przypominam sobie cyrkiel, jaki robiłyśmy
nieraz na pensyi, z kawałka biletu wizytowego. Jeden
koniec *a* (fig. 16), musi być przymocowany do papieru,
w drugim robi się kilka dziurek takiej wielkości, żeby się
w nie zmieścił ołówek, którym się zatacza koło.



fig. 16.

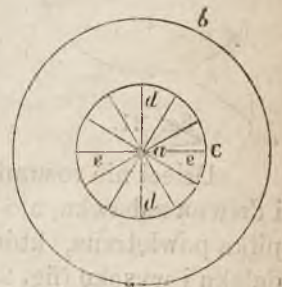


fig. 17.

Wypadnie nam teraz narysować dwa koła jedno
w drugim. Nazwijmy koniec karty przymocowany do
tektury *a*, końcowe nakłócie *b* a bliższe środka *c*. Gdy
włożymy ołówek w *b*, narysujemy większe koło, gdy
włożymy go potem w dziurkę *c*, otrzymamy drugie
wewnątrz, mniejsze. Wytnijmy teraz starannie większe
koło, a mniejsze podzielmy na dwanaście równych części
i zaznaczmy linie ołówkiem (fig. 17). Potem wytnij-
my starannie te trójkąciki powyginajmy je w jedną
i w drugą stronę (fig. 18) i zabawka skończona. Gdy pu-

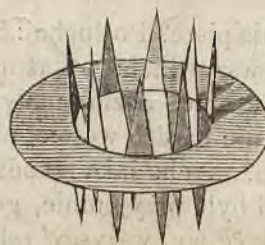


fig. 18.



fig. 19.

ścimy ją na drodze w pogodny lecz wietrzny dzień, potoczy się tak szybko, że jej nie dogonicie.

Dzieci ucieszyły się wielce tą nową zabawką.

— Zrobimy jeszcze drugą — rzekła ciocia; — trzeba najpierw narysować trzy koła jednakowej wielkości. Pierwszy z tych krążków musi być nacięty cztery razy od brzegu do środka (fig. 19), drugi, dwa razy i także przecięty przez środek (fig. 20), trzeci wreszcie jest przecięty w środku na krzyż (fig. 21). Teraz trzeba wsadzić wszystkie krążki jeden w drugi. Najpierw zegnijcie dwie wyższe połówki pierwszego krążka tak, aby punkta *f* i *f* (fig. 19) dotknęły się, wsuńcie je w środek drugiego i wyprostujcie (fig. 22). Potem złożcie razem wszystkie połówki i wsuńcie w środek

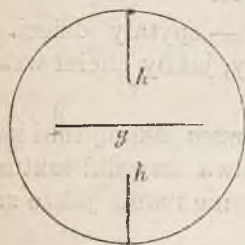


fig. 20.

trzeciego krążka, wyprostujcie wszystko należycie, przecięcia powinny jedno w drugie doskonale wchodzić.



fig. 21.



fig. 22.



fig. 23.

Dzieci nie rozumiały dobrze co by znaczyła ta nowa i dziwna zabawka, ale ciocia im wytłumaczyła, że to taka piłka powietrzna, która za podmuchem wiatru pofrunie daleko i wysoko (fig. 23).

(d. c. n.)

List Józia.

— Józiu! mamusia kazała cię ucałować — rzekła ciocia Anđzia, przeczytawszy list, przyniesiony przed chwilą. Oczy chłopczyka zajaśniały.

— Doprawdy, cioteczko, tam tak napisane? — spytał.

— Józia ściskam i całuję — czytała ciocia — jestem pewna, że synek mój grzeczny i posłuszny, gdy niema mamusi. A jakżeż tam z nauką?

Tu ciocia z uśmiechem spojrzała na Józia, który zamruknął się trochę.

— A nie ciekawysz, co Lunia pisze? Posłuchaj: Smutno mi tu, tak smutno bez was wszystkich; wciąż myślę o tem, co robisz ty, cioteczko, ojcunio, Józio, mały Stefanek, niania... Józiovi pewnie nie bardzo wesoło, niema się z kim bawić, prawda, ciociu? Ach, jaka szkoda, że nie umie jeszcze pisać, takby mi było przyjemnie, gdyby do mnie codzień pisał, co robi, co wy wszyscy robicie. Ach, ciociu, jakbym ja już chciała być w domu. A mamusia mówi, że tu jeszcze długo zostaniemy.

Służąca wywołała ciocię z pokoju. Józio został sam; wziął list Lunii do ręki. Cóż, kiedy nie umie przeczytać! Biedna Lunia! aż mu się łzy w oczach zakręciły. Tak długo chorowała, a teraz, gdy już zdrowsza, kazali jej doktorzy wyjechać na zimę do cieplejszego klimatu. Biedna! Co ona tam robi po całych dniach? Musi jej być bardzo smutno.

— Cóż pani pisze, proszę pani? — spytała niania w drugim pokoju.

— Niebardzo dobrze, moja Agato. Lunia jest trochę zdrowsza, ale bardzo tęskni za nami i to jej szkodzi. Biedne dziecko!

— Oj biedne! — powtórzyła niania.

Rozmowa w drugim pokoju umilkła; Józio wciąż siedział na tem samym miejscu, trzymając w ręku list Lunii.

„Gdyby mi Józio codzień coś napisał, toby mi się zdawało, że jestem w domu” — przypomniało mu się nagle.

Napisał? Kiedy on nie umie pisać. Ach, jak on teraz żałuje, że się jeszcze pisać nie nauczył. Ale bo to pisanie takie trudne, a nudne! Te pałki, które nigdy nie chcą być proste, tylko chwieją się na wszystkie strony; albo te kółka, aż przykro na nie spojrzeć. Jacy ci ludzie szczęśliwi, co już umieją pisać, co mogą pisać listy, do kogo zechcą.

A gdyby... a gdyby...

Oczy Józia zajaśniały; może spróbować? Mój Boże, jakby się Lunia ucieszyła! Józio zerwał się z miejsca, zdjął z półeczki kajet i ołówek, usiadł przy stoliku pod oknem i zaczął z trudem kreślić pałki i kółka.

Nie, to takie trudne, on się tego nigdy nie nauczy; tak się stara, i wszystko napróżno, chciał już odłożyć ołówek. A Lunia? — szepnął mu jakiś głos do ucha. — Trzeba jeszcze próbować.

Józio pisał a pisał; ot, już napisana jedna strona, pół drugiej... Doprawdy; czy mu się zdaje tylko, czy w rzeczy samej te pałeczki już są prostsze, a kółka kształtniejsze?

Na podwórzu zagrała katarynka.

Kiedyindziej Józio skoczyłby już do okna, ale dzisiaj cóż go to obchodzi? Przecież on się uczy pisać dla Lunii!

— Józiu, ciocia prosi na śniadanie — zawołała niania.

Po śniadaniu odbyła się jak zwykle lekcya z ciocią. Józio czytał jakoś gorzej, niż zwykle, ale bo tak był niespokojny: Co też ciocia powie, może znowu skrzywi się, gdy spojrzy na jego pisanie?

Nareszcie wzięła ciocia kajet do ręki. Józio czeka, a twarzyczka aż mu płonie z niepokoju.

— Józiu, czyś to ty pisał? Ależ to wcale nieźle; jestem z ciebie zadowolona, mój chłopcze. Jeszcze dwa, trzy dni, a zaczniemy pisać litery, napiszę o tem do mamusi, to się dopiero ucieszy.

Józio dnia tego był bardzo szczęśliwy i zadowolony.

Odtąd upłynęło trzy tygodnie.

Lunia myślała właśnie o domu, o ojczulku ukochanym, o cioci, o Józiu, gdy w tem przyniesiono list z poczty; mama spiesznie go otwiera: na ćwiartce papieru dużemi, niekształtnymi jeszcze literami, ołówkiem napisane czyta następujące wyrazy:

— Luniu kochana, złota, umiem już pisać, nauczyłem się dla ciebie i teraz będę ci codzień opisywał co wszyscy robimy. Prawda, Luniu, nie będziesz już teraz taka smutna i prędzej wyzdrowiejesz. Twój braciszek Józio.

Gdyby Józio mógł widzieć radość Luni!

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

(Dalszy ciąg)

— A ja — rzekła Jagusia — kupiłabym sobie cukierków i pierników, rzadko nam się tego dostaje i to po troszeczku, a mnie nic tak nie smakuje, jak piernik.

— A ja — rzekła Halinka — jeśli zarobię co za poziomki, to kupię czepeczek dla cici i fajkę dla wuja, bo jego już bardzo stara.

Zapušciły się razem w las, ale Elżbietka, i Jagusia, rzuciły się tak chciwie na każdą znalezionej poziomkę, nie dając nawet przystąpić Halince, że ta nic nie mówiąc odłączyła się od nich i poszła w przeciwną stronę, prosząc tylko, aby nawoływały na nią od czasu do czasu.

W miarę jak szła robiło jej się jakoś raźniej i weselej, ciepło i radośnie było w lesie; ptaszki śpiewały ukryte w leszczynie i w konarach dębów, grunt wznosił się miejscami tworząc małe pasma wzgórz i dolin, obficie zarosłych paprocią, a wszędzie, wszędzie migwały czerwone główki poziomek, aż dziwi było Halince, że ich tyle znajduje. Wspinała się na pagórki, rozchylała trawy i paprocie, zaglądała między krzewy i dzban napełniał się coraz więcej, coraz prędzej, tak, że go już prawie udźwignąć nie mogła.

Wreszcie napełnił się po brzegi, Halinka aż się roześmiała z radości. Obwinęła starannie dzban paprocią, obwiązała długimi trawami i zmęczona osunęła się na murawę. Wtem usłyszała szelest i przestraszona obejrzała się niespokojnie, aż tu z pomiędzy krzewów leśnych wysunęła się mała, zgrabna, śliczna sarenka.

Halinka zachwycona nie ruszyła się z miejsca, żeby jej nie spłoszyć, sarenka zbliżała się coraz bardziej, skubiąc trawę i paproć.

— Może się tak zbliży, że będę ją mogła złapać — pomyślała dziewczynka, powstając ostrożnie.

Sarenka zwróciła się w bok i zaczęła iść powoli, a za nią szła Halinka, usiłując zbliżyć się tak, aby ją schwycić.

Wkrótce sarenka doszła do szczytu wzgórza, na którym się znajdowały, a które było wyższe od innych i chyżo spuszczać się na dół zaczęła. Halinka pobiegła za nią. Wtem doszedłszy do stóp góry, sarenka zerwała się gwałtownie w kilku skokach znalazła się znowu u szczytu i znikła dziewczynce z przed oczu.

Halinka zdziwiona rozejrzała się.

Była w małej kotlince otoczonej ze wszystkich stron wzgórzami, stoki ich całe obrosłe były paprocią i mchami, gdzieniegdzie szumiały drzewa, szemrały potoki spadające w pieniających kaskadach, a w samej kotlince, aż czerwono było od poziomek.

Jaka dobra ta sarenka! — zawołała, śmiejąc się Halinka — otóż pokazała mi gdzie najwięcej poziomek, a jakie olbrzymie, jeszcze takich nigdy nie widziałam.

Wyciągnęła już rękę, ale się zatrzymała.

— Nie miałabym w co zabrać — pomyślała — mój dzban pełen i taki ciężki, że go ledwie unieść mogę, szkoda marnować takich ślicznych poziomek.

Przypomniawszy sobie swój dzban, pobiegła szybko na górę i zaczęła go szukać. Stał nieporuszony pod dębem. Halinka wzięwszy go oburącz zaczęła iść przed siebie, nie bardzo wiedząc gdzie się znajduje, bo szukając ciągle poziomek, zapuściła się głęboko w gęstwinę.

Szła długo, długo, wreszcie usłyszała nawoływanie, był to głos Jagusi, wkrótce odezwał się i głos Elżbietki — skierowała się w tę stronę, a tymczasem niebo ściemniło się, zerwał się wiatr, chmury sine i szare kłębić się poczęły i grube krople deszczu spadały.

Halinka oswojona z lasem nie bała się burzy, tylko przypomniawszy sobie, że niedaleko stąd znajduje się szałas pasterski, pobiegła doń szybko i spotkała się z Elżbietką i Jagusią, które także chroniły się tam przed ulewą.

Szałas był z chrustu ale obszerny, woda nie przenikała przez gałęzie. Dziewczęta przysiadłszy obok siebie zrazu nic nie mówiły, gdyż ponury głos grzmotu głużył słowa i tylko przy jaskrawem świetle błyskawic, widzieć mogły nawzajem swoje skulone postacie i nagie ściany szałasów.

Wreszcie Halinka ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zapytała:

— Dużo macie poziomek?

Na te słowa sposepniały twarzyczki obu dziewczynek.

— Jakże możemy ich mieć dużo — rzekła gniewnie Jagusia — kiedy poziomki prawie wcale w lesie niema i żeby napełnić choćby dwa takie dzbanuszki, trzeba by chyba schodzić cały las wzdłuż i wszerz.

— Czy być może! — wykrzyknęła zdziwiona Halinka — ja tyle poziomek widziałam, że ich nawet zebrać nie mogłam.

— Kłamiesz — rzekła szorstko Elżbietka — gdybyś widziała tyle poziomek, jak mówisz, to twój dzban byłby pełen.

— To też jest pełen — odparła wesoło Halinka — tak pełen, że go ledwie unieść mogła, patrz jaki ciężki.

W istocie dzban okazał się bardzo ciężki. Błyskawica, która nagle rozdarła niebo, oświeciła twarze Elżbietki i Jagusi, wykrzywione wyrazem gniewu i zazdrości.

Nastało długie milczenie. Halinka zmęczona wyciągnęła się na mchu i suchych liściach, tworzących posłanie w kącie szałasów, obie siostry szeptały coś zcicha.

— Co zrobimy — rzekła wreszcie Elżbietka — burza pewnie potrwa noc całą.

— Ha cóż — westchnęła Jagusia — nie możemy przecież wracać na taką ulewę, ja się na burzach znam,

jak są takie grzmoty i takie błyskawice, to pewno nie uspokoji się aż do rana.

— No, więc trzeba pomyśleć jak noc przepędzić, daj Jagusiu twoją chustkę, podłożymy ją sobie pod głowy.

Słyszac to Halinka, chciała wstać, aby mechy i liście na których leżała rozdzielić na trzy posłania, ale Elżbietka nie pozwoliła na to.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

dla Giermka od Smoka wawelskiego.

Zgadnąć kto jestem, zgadnąć was proszę
Bo w sobie światło i ciepło noszę
Pragnie mnie możny, pragnie ubogi,
Dawnemi czasy strzegły mię bogi;

Ale nie zawsze ja dobrym bywam
Nie pożądanym czasem przybywam —
Jak smok stugłowy ja ludzkie mienie
Pożeram chciwie, niosąc zniszczenie.

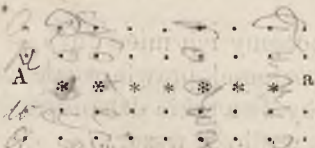
LOGOGRYF.

ułożył Słoń z Nubii.

Ułożyć 12 wyrazów, których pierwsze litery należy odczytać z góry na dół. Znaczenie wyrazów: 1) Międzymorze w Ameryce. 2) Włoski bandyta. 3) Kraje w poł. Azji. 4) Miasto w Arabii. 5) Najwyższa ranga w marynarce. 6) Jedna z trzech Gracyi. 7) Mitologiczny rumak skrzydlaty. 8) Piękny kwiat. 9) Miasto w Persyi. 10) Miasto w Peru. 11) Wyspa na morzu Północnem. 12) Mędrzec grecki. Sylaby: A — a — di — dze — dmi — dya — glae — gaz — han — ja — is — js — ka — kra — li — ma — ma — na — nał — ni — pa — pe — pa — ri — rai — ró — so — tes — mek — lan — za.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

p. Wichurę.



Zastąpić kropki i gwiazdki literami, ażeby litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę miasta w Belgii. 1 rząd pionowy: Miasto na Szląsku. 2) Państwo europejskie. 3) Dopływ Warty. 4) Miejsce urodzenia Kazimierza Wiel. 5) Rzeka w Hiszpanii. 6) Miasto w półn. Włoszech. 7) Miasto w Saksonii. 8) Kraj w półn. Afryce. 9) Rzeka we Francyi.

KWADRAT MAGICZNY.

a	a	o	Rzeka.
o	d	n	Zaimek.
n	n	s	Zaimek.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go

Zagadki: Tajemnica.

Skrzynka do listów.

Jance P. Chcąc wziąć udział w konkursie kaligraficznym nie można być starszym nad lat dziesięć; przysłać należy próbę swego pisma w dwóch liniach i niemniej jak stroną arkusza.

Próba pisma przysłana przez Czesława T. ze Lwowa, nie odpowiada warunkom konkursu, żądamy pisma kaligraficznego, a nie drobnego na jednej linii. Ponieważ czasu dosyć, prosimy bardzo o stroniczkę kaligrafii.

Wichura pisząc do Jaskółki listy, swoje wprost do redakcyi adresować powinna. Bardzo nas cieszy, że cię zajmują przygody *Jurasia i Anulki* i że z takim zajęciem czytasz *Niedźwiedzia*. I u nas jeszcze nie czuć wiosny, a chociaż mrozów niema, chłód i deszcze dają nam się we znaki. Elementarz o który zapytujesz zdaje się być dobry, gdy go zażądasz, wyślemy chętnie. Łamigłówek twoje i siostrzyczek przyjmujemy.

Prawdziwą przyjemność sprawia nam Aleksander W. ciekawymi opisami stron dalekich, które zamieszkuje, to znów obyczajów miejscowych lub też szczegółów z życia rodzinnego. Każdy taki list zbliża nas z sobą i sympatyę wspólną utrwała, nie więc dziwnego, że każdy bywa mile witany i czytany z ciekawością. Pomimo że mieszkasz tak daleko, prawdziwie szczęśliwym zwać cię można, że posiadasz tak czcigodnego ojca i dobrą matkę, gorąco za to powinienes codzienn Bogu dziękować. O częste listy prosimy bardzo, zalecamy zwracanie bacznej uwagi na poprawność stylu i czystość języka. Rozwiązanie szarady i łamigłówek dobre, a odpowiedź na pytanie historyczne należy do jednej z najlepszych i najszczegółowszych, jakieśmy otrzymali.

Marysi i Zosi Ł. Ludkowi R. z Kijowa, jakoteż Stanisławowi J. ze Lwowa, zaginione numera, o które prosili, redakcyja posłała powtórnie.

Stefan W., Trzpiotka Kujawska, Polska Ptaszyna i Sierp nadestali dobre rozwiązania.

Ułtance z nad Kaniny. Morzem wolnem biegunowem nazywają morze wolne od lodów, które według przypuszczeń niektórych uczonych i podróżników (między innymi i Nansena) znajduje się naokoło samego bieguna, dokąd jeszcze dotychczas stopa ludzka nie dotarła. Przypuszczenie to oparte jest na podaniach Eskimosów oraz na tem, że najchłodniejsze punkta — czyli tak zwane bieguny chłodu nie znajdują się wcale na samym biegunie geograficznym, lecz znacznie niżej, (kolo Wierchojańska w Syberyi wschodniej) mniej więcej na 70° szerokości północnej, skąd jeszcze do bieguna zostaje stopni dwadzieścia. Chociaż więc do 86-go stopnia morze przedstawia się przez trzy czwarte roku, jako pole lodowe, być bardzo może, że pod samym biegunem jest nieco cieplej i morze, jeśli tam jest morze, a nie ląd, zostaje wolnem od lodów przez czas dłuższy.

Tę samą teorię względem bieguna południowego rozwija Verne w drukowanym w zeszłym roku w *Wieczorach Rodzinnych* „Sfinksie lodowym”. Wajdelotce i Bodziowi serdeczne ukłony.

Przepraszam cię Polska Ptaszyno, że na list twój tak przyjemnie napisany, dla braku miejsca odpowiedzi w zeszłym numerze nie znalazłaś. Dziękuje ci za serdeczne wyrazy, z któremi się zwracasz do mnie, a nie wątpię, że się wkrótce zaprzyjaźnimy, bo nie wątpię, że i nadal obdarzać mnie będziesz swemi liścikami. A może twoja młodsza siostrzyczka zechce zaliczyć się do grona moich stałych korespondentek, i na konkurs który redakcyja ogłosiła niedawno przysłać też swoją kaligrafię. Arytmogryf twój byłby może dobry, gdyby początkowe litery nie tworzyły nazwiska, które z powodu roku jubileuszowego odbieramy w wielu łamigłówkach, więc z tego powodu odrazu każdy je z łatwością odgadnie.

Łamigłówkę Podolanki z nad Wołgi złożyłam w redakcyi. Witamy w niej nową korespondentkę i cieszę się, że z zajęciem czyta powieści w *Wieczorach*. Mam nadzieję, że nie poprzestanie na tem jednem odezwanu i częstem słówkiem obdarzać będzie:

Jaskółkę.